Nr. 5. Lwów, dnia 1. marca 1910. Rok XXXIII.



Wpisowe do Towarz. (jednorazowe) 4 korony.

Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

ODEZWA.

Prywatnie dochodzą nas wiadomości o licznych i udałych łowach na dziki w naszym kraju, jak w Rozhurczu, Siechowie, Busku i t. d. Ciekawy to, ale i smutny nader objaw u naszego społeczeństwa łowieckiego, że z polujących tam myśliwych nie znalazł się nikt, ktoby choć krótką wzmianką o tych polowaniach naszej Redakcji się przysłużył. Smutne to świadectwo zupełnej obojętności dla spraw łowieckich ze strony naszych delegatów i członków, tem smutniejsze w chwili obecnej, gdzie łowiectwo nasze wobec wprowadzenia nowej ustawy, stoi na przełomie i wymaga wspólnej i ofiarnej pracy od ogółu dla ochrony najżywotniejszych jego interesów.

„Łowiec" to tętno krajowego łowiectwa powinno być o jego ruchu dokładnie informowane. Obowiązek ten informowania spoczywa w pierwszym rzędzie na delegatach naszych, według obowiązującego ich regulaminu. Ale delegaci nasi z nader nielicznym wyjątkiem latami całemi nie dają znaku życia ani to zapomocą pióra, zasilając korespondencjami „Łowca" ani też czynem w powierzonych im okręgach. A takie wdzięczne i szerokie pole mieliby do pracy dla dobra łowiectwa!

Zaznaczamy, że choć spóźnione, zawsze cenne będą nam korespondencje z odbytych w tym sezonie polowań i o nie prosimy naszych delegatów i członków jak najusilniej.

Redakcja.



Tegoroczna XVI. wystawa łowiecka w Berlinie.

Tegoroczną wystawę łowiecką w Berlinie (XVI. deutsche Geweihausstellung) urządzono w gmachu nieustających wystaw, przy ulicy Hardenberga, koło zoologicznego ogrodu.

Wystawę obesłało swojemi trofeami wielu myśliwych przeważnie niemieckich, a w części austrjackich. Wystawa ma być obrazem zdobyczy myśliwskich Niemców z ubiegłego roku w obrębie Niemiec i ich posiadłości afrykańskich, nadto ubitej zwierzyny z ręki niemieckich myśliwych poza obrębem obszarów Rzeszy i tychże posiadłości kolonialnych. Stąd mało obcych i polskich nazwisk. Zaledwie kilka: von Zalewski, von Zakrzewski, von Lewandowski, wreszcie „Prinz Radziwiłł“, znamionują niezaprzeczenie nazwiska czysto polskiego pochodzenia na obecnej wystawie.

Wystawa cała zajmuje jedno skrzydło pawilonu, to jest klatkę schodową i trzy przyległe do tejże frontowe sale, wypełnione zupełnie tak, że widz w przeglądzie trofeów gubi się — a wspaniałość tychże ostatnich niema stosownego do obserwacji, dość szerokiego tła.

Postępując od wejścia (portal VI.) spotykamy w klatce schodowej ogromny łeb hipopotama, szkielet głowy słonia, oraz kilka łbów antylop. Ogólną uwagę zwraca tutaj wielki 235 kg. ważący niedźwiedź brunatny, którego zabił książę Henryk pruski na polowaniu u hrabiego Andrassy'ego w Tatrach węgierskich, na odległość 32 kroków 27. listopada 1909 roku. Oprócz tego kilka okazałych łosi skandynawskich i głowa ogromnego słonia upiększają wejście do sal wystawowych.

W pierwszej sali zgromadzone są rogi jelenie z Austrji i Węgier, a nawet spostrzegłem jednego naszego karpackiego jelenia, ładnego 14-taka ubitego na Syholnem. (W rewirze p. Krisera).

Jelenie austrjackie (alpejskie) dość dorodne rozrostem wieńców, są jednak słabo wyperlone. Rogów jeleni węgierskich znajduje się 11, a między nimi kilka bardzo ładnych, zwłaszcza górskich. Są też bardziej wyperlone i piękniejsze od austrjackich. Obok jeleni alpejsko-karpackich wypełniają salę prawie po brzegi rożki rogaczy, ustawione według prowincyj pruskich, począwszy od Westfalii na zachodzie, a skończywszy na Poznańskiem, Pomorzu i Prusiech wschodnich — ku północnemu wschodowi. Z każdej niemal prwincji posiadają rogacze pewne różniące je cechy. Wprawdzie tylko oko myśliwych, zwiedzających licznie wystawę, wyróżnić umie pewne ścisłe różnice, między rozmaitemi prowincjami, rewirami i t. d. A jest interesujących obrazów przeszło 500. Nadreńskie rewiry dostarczyły ładnych pniaczkowatych rożków — o grubych czarnych perłach. W zachodnich prowincjach widać więcej nieraz niepospolicie rozwiniętych myłkusów.

Dwa okazy takie miały rożki ujęte w ślimacznicę — inne znów posiadają po 3 lub 4 tyczki proste lub powyginane łukowato na jednej róży. Wschodnie prowincje (Śląsk, Poznańskie, Pomorze, Prusy) dostarczyły również wspaniałych okazów, lecz z widocznym odcieniem jaśniejszym, o iglicowym charakterze tyczek i gałązek. Mniej zaś jest tutaj myłkusów tak zawsze ponętnych dla myśliwego.

W drugiej sali wystawił książę Solms-Baruth, kilka wielkich wieńców jelenich krótkich i grubych, ale słabo operlonych. Przedewszystkiem wpadają w oczy rogi jeleni ubitych przez cesarza niemieckiego. Widzimy tutaj rogi jelenia 16-taka, ważące 10 kg., które otrzymały pierwszą nagrodę, to jest puhar złoty. Rogi, własność księcia von Pless (na Pszczynie) dostały drugą nagrodę, również w postaci puhara. Oba puhary są darem cesarza niemieckiego. Rogi innych jeleni są mniejsze, dlatego nie wspominam o nich. Oprócz tego widzimy w tejże sali 2 ogromne żubry, wypchane w postawie walki, kiedy groźnie zwarły się łbami. Ubił je cesarz niemiecki na Śląsku pruskim u księcia na Pszczynie.

Na przejściu, z drugiej do trzeciej sali widzimy trofea z wyprawy myśliwskiej księcia Radziwiłła do Afryki.

Zbiór ten składają: skóry dwu lwic, dwa ładnie wypchane lamparty nad łupem, głowy kilkunastu antylop, bawołów i nosorożców, kły słonia i t. p.

W trzeciej i ostatniej sali jest dużo wieńców jelenich, ale przeważnie małych i wcale nieosobliwych. Widzimy tu zato trofea kilku wypraw do Afryki i jednej wyprawy do Chin i głębokiej Rosji. Między innemi trofeami widać fotografję białego nosorożca (sam nosorożec znajduje się już w muzeum przyrodniczem) oraz głowy słoni, bawołów, nosorożców i antylop, skóry z lwów i lampartów. Z pomiędzy trofeów chińskich i rosyjskich wpada w oko skóra starego niedźwiedzia „Grizzly“, niedźwiedzia brunatnego, i rogi wspaniałego jelenia „marala“. Pięknego całkiem czarnego niedźwiedzia przysłało Towarzystwo myśliwskie z Siedmiogrodu, oraz łeb ogromnego odyńca, który dostał też pierwszy medal. Wogóle wystawiono odyńców 10. Niemieckie odyńce nie odznaczają się nadzwyczajną wielkością. Największy bowiem ważył zaledwie 161 kg. Natomiast mają wielkie kły. Widziałem także zwierza w Niemczech rzadkiego, bo łosia. Były to trzy ładne okazy łosia z Pojezierza bałtyckiego.

Wogóle zauważyłem, że rogi ze zwierzyńców (zamkniętych) są słabiej wyperlone i nie mają białych końców oraz, że są mniejsze, niż rogi jeleni z rewirów wolnych.

Pierwszą nagrodę za rogi jelenie otrzymał cesarz niemiecki za 16-taka, którego wieńce ważą 10 kg. Właściwie powinien był dostać pierwszą nagrodę książę Fürstenberg, za swój $10^1/_2$ kg. ważący wieniec jelenia z Karpat węgierskich, ale, że ów nadesłano za późno, (bo po rozdzieleniu nagród) więc nagrody nie otrzymał. Drugą nagrodę za rogi jelenia 18-taka otrzymał książę na Pszczynie. Udzielono jeszcze kilka innych nagród za jelenie, daniele, rogacze i t. d.

Wystawę otworzył cesarz niemiecki dnia 27. stycznia, a skończyła się dnia 16-go lutego. Mimo dość drogiego wstępu zainteresowanie się wystawą było wielkie. Zawsze można było widzieć snujące się wśród trofeów gromady zaciekawionych myśliwych, robiących spostrzeżenia i uwagi, co do rozpiętości, wagi i długości wieńców, oraz ich operlenia. Niektórzy jakby w kniei, spierali się ze sobą o zalety jeleni zwierzyńcowych, lub jeleni wolnych. Wszędzie można było spostrzedz wielkie zaciekawienie i szczerą radość na widok jakiejś osobliwości dla myśliwskiego oka.

Berlin, w lutym 1910.

Włodzimierz Barański
junior.

„Łowiec Polski“.

Dzikie strzały.

Posiadamy bardzo dużo wskazówek, które w znacznej mierze pozwalają strzelcowi w każdym pojedyńczym wypadku kwestje swej broni i amunicji w ten sposób rozwiązać, że procent dzikich strzałów będzie do minimum doprowadzony. Dla czytelników, którzy dotąd mało się balistyką zajmowali, dodajmy, że „dzikimi strzałami“ nazywamy takie, których rezultaty znacznie od przeciętnego, normalnego strzału się odchylają. W praktyce rozumie się jednak zazwyczaj uchylanie tylko ujemne, a stacya doświadczalna broni palnej, ręcznej w Halensee, jako normę 25 prc. przyjęła, wszystkie więc strzały dające w kręgu 75 cm. na 35 m. o 25 prc. mniej śrótów, niż przeciętna, uznaje za dzikie, czyli nieobliczalne.

Powoduje je wiele bardzo czynników, z których 1) borowanie lufy, 2) przejście z kamery do lufy, 3) gilza, 4) spłonka i przybitka największą rolę odgrywają, nie zaś proch. Tylko prawdziwa harmonja tych wszystkich czynników jest w stanie przypadkowość w strzale czyli „dzikie strzały“ ograniczyć.

Nie trzeba zapominać, że wszystkie składniki wpływające na strzał śrótowy nie są wielkościami stałemi dla pewnego kalibru i ładunku, tylko zmiennemi, wahającemi się w granicach wiele szerszych, niż to ma naprzykład miejsce w broni kulowej.

Jeżeli za pomocą kalibromierza, wymierzymy wnętrza luf najnowszych broni z najlepszych fabryk, to stwierdzimy wahania, które nieraz parę, a nawet kilka ułamków dziesiętnych milimetra stanowią. Przejścia bywają krótko obcięte pół-koniczne i koniczne — i wykazują też bardzo znaczne różnice.

Ponieważ ideałem jest, aby możliwie mało *) gazów prochowych przez grubą przybitkę do śrótu się dostało, więc na tę ostatnią przypada obowiązek zastosowania się do danej lufy, aby powyższe nierówności wyrównała.

W pierwszej chwili zdawałoby się, że łatwe i radykalne rozwiązanie kwestyi da przybitka tłuszczona, gruba o kaliber większa od kalibru lufy. Tak jednak nie jest. Każdy gatunek spłonki gilzy, prochu, borowania, przejścia i kamery do lufy i tej ostatniej powoduje inne ciśnienia, których wahania nieraz do setek atmosfer dochodzą, a możliwie duża szybkość przy możliwie nizkiem ciśnieniu, jest celem, do którego dążymy. Na ciśnienie zaś w pierwssym rzędzie wpływa przybitka prochowa, a potem śrót. Jeżeli wymienione czynniki w chwili zapalania się wywołują bardzo gwałtowne ciśnienie, a wałek przybitki jest elastyczny, to może i powinna być ona cieńszą i nie za wielkiego kalibru, bo pod wpływem wybuchu i tak się dostatecznie rozszerzy, aby pożądane uszczelnienie wywołać. W przeciwnym zaś razie t. j. gdy wybuch nie jest odrazu tak gwałtowny, a materjał przybitki nie tak elastyczny, to należy używać przybitki wyższej i o większej średnicy. Stosunek ten należy jednak wypróbować w każdym wypadku indywidualnym, bo prawidła ogólnego wypowiedzieć nie można.

Bardzo ważnym czynnikiem jest też materjał gilzy i jej długość. Nie należy nigdy z krótkich kamer (szczególnie o ostrem ścięciu), strzelać dłuższemi gilzami, bo nietylko, że się narażamy na ciągłe „dzikie strzały“, ale nawet na rozsadzenie lufy. Odwrotnie, z dłuższej kamery, szczególnie o przejściu półkonicznem, można strzelać krótkiemi gilzami, bez wszelkiego niebezpieczeństwa osobistego i prawie bez ujmy dla strzału, jeżeli używamy elastycznych gilz i przybitek. Jeżeli trafiliśmy na gatunek gilz pękających lub w których spłonka bywa wydymana, to powinniśmy stanowczo przestać go używać, bo rezultaty nie mogą być dodatnie.

Spłonka odgrywa też niemałą rolę przy dzikich strzałach, zwłaszcza przy prochach mało — i bezdymnych.

Ponieważ wchodzą tam niezmiernie małe ilości materji wybuchających, więc zachodzi naturalnie trudność równomiernego ich rozdzielenia. Dlatego, pomimo, że wypadki rozerwania broni z powodu za silnej spłonki są rzadkie, jednak stanowczo zdarzają się i dlatego powinno się używać tylko wyrobów najstarszych i najpoważniejszych fabryk, a nie robić groszowych oszczędności. Różnice zachodzące w nabiciu spłonki bywają jednak bardzo często na tyle znaczne, że rozmaite szybkości spalania prochu powodują, a co za tem idzie, nierównomierny wynik strzałów. Spłonka kryta oryginalna „Gevelot“ jest dobrą ale nienajlepszą pomimo swojej u nas popularności. Niektóre niemieckie spłonki i angielskie, używane przez Eley'a do gilz nabitych „Balistitem“ i „Empjr'em“, są stanowczo lepsze, choć tańsze. Każdy rodzaj spłonki ma swoje wady i zalety i daje się do pewnych gatunków prochu lepiej zastosować, aniżeli do innych. Jedna spłonka daje płomień silny i podłużny, inne szerszy, a. słabszy. Wiedząc, w jakich warunkach ich produkty najlepsze usługi oddają, zagraniczne fabryki prochów na ogół nie sprzedają prochu oddzielnie, a tylko nabity w gilzy, opatrzone odpowiednią spłonką. Tylko mniej ofensywne prochy są tam sprzedawane nie w nabitych gilzach, ale zawsze są zaopatrzone w objaśnienie, jaki zapał do nich używać potrzeba.

Przejdźmy teraz do punktu, któremu jak się przekonałem, spore grono strzelców przypisuje główną winę dzikich strzałów, a mianowicie — do prochu.

Jak zaznaczyłem, proch ma stosunkowo niewielki wpływ na tę kwestję i to więcej pośredni, jest zależnym od materjałów, którymi pracuje. Jeżeli spłonka, gilza, i przybitka odpowiednio dobrane, a ładunki idealnie równomiernie nabite, to wszystkie dobre gatunki prochu, a do tych bezwarunkowo i „Sokół“ zaliczyć trzeba, dają strzały równomierne. Według mnie, twierdzenie, że ten lub ów proch daje dużo, inny mało dzikich strzałów jest nie ścisłe. Byłoby ścisłem natomiast powiedzenie: ten lub ów proch jest trudniejszym do nabijania — wymaga większej dokładności. Możnaby więc grymaśność tym prochom jako zarzut postawić — upada on jednak zwykle, gdy inne zalety ich weźmie się pod uwagę, a są to zwykle szybkość, ostrość, gęstość i równomierność.

Aby więc otrzymać możliwie mało dzikich strzałów, należy pamiętać poza dobraniem odpowiednich materjałów, jeszcze i o niezmiernie dokładnem i racjonalnem nabijaniu.

Na ogół prochy żelatynowe wymagają lekkiego ściśnięcia, ale nie ubicia i właśnie tę normę jest szalenie tru-

*) Jak to fotografie strzału śrótowego dowiodły, nie jest możliwem żadną przybitką w żadnej lufie doprowadzić do takiego uszczelnienia, aby gazy naprzód się nie wydostawały. Fotografia strzału u wylotu wskazuje, że najpierw wylatuje spora ilość gazu i mało dymu (niespalone części stałe), potem dopiero kartonik i śrót. Bliższe szczegóły znaleść można w „Zeitschrift für Pyrotechnik“ a głównie w rocznikach „Schiesswesen“ Verlag Neumann in Neudamm (Prusy).

dno utrzymać. Każdy opór przybitki w gilzie, każde silniejsze lub słabsze przyciśnięcie ręki ma znaczenie kolosalne na ściśnięcie prochu; inaczej ono wypada, kiedy wstrząśniemy gilzą po wsypaniu prochu, inaczej, gdy tego nie zrobimy, inaczej kiedy dosuwamy przybitki pojedyńczo, inaczej kiedy wszystkie razem. Aby to unormować, fabryka niemiecka Wolfa w Walsrode, a za nią fabryka w S-t. Elienne, zaczęła robić w gilzach pierścień, do którego się dosuwa przybitkę, pozostała przestrzeń jest matematycznie równą w każdym ładunku i w niej mieści się odważony proch. Rezultaty przeszły wszelkie oczekiwania. W prochu Walsrode naprzykład ciśnienie atmosferyczne zmniejszyło się do minimum, wtedy, kiedy poprzednio był to proch najbardziej gwałtowny (brisant) z istniejących.

Zanim nasze fabryki krajowe dojdą do tych udoskonaleń, powinny się przynajmniej tymczasem postarać o dokładniejsze wykończenie swych wyrobów. Gilzy nawet lepszych gatunków wykazują po 10 prc. wahania w kalibrze wewnętrznym, — co za tem idzie 10 prc. utrudnienia w nabijaniu i niedokładność w strzale.

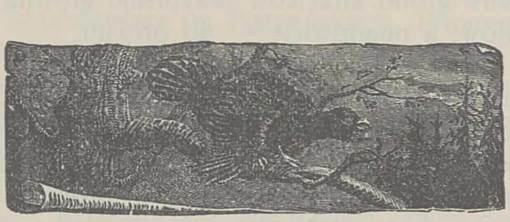
Zagraniczne fabryki gilz lepszych gatunków, doszły do takiej perfekcyi, że objętość wewnętrzna gilz nie przechodzi 2 prc. wahań.

Z tego powodu przy jednoczesnem, uważnem sortowaniu przybitek, fabryki zagraniczne prochów, które jeszcze nie wprowadziły pierścienia regulacyjnego, posługują się dużą dźwignią o 10 stempelkach, którą jednocześnie w desce amerykańskiej przez 10 lejków tyleż kompletów przybitek w gilzy wtłaczają.

Fabryka James Divon et Sons w Scheffild, wyrabia te wyżej wymienione dźwignie i oprócz tego aparaty do automatycznego odmierzania i nasypywania prochem i śrótem 10 gilz jednocześnie.

Dwóch robotników przy pomocy wspomnianych przyrządów, nabija 100 ładunków wraz z obcięciem i zapakowaniem w przeciągu kwadransa. Komplet maszynowy dla wszystkich kalibrów kosztuje około 1000 Frs. Ponieważ nasze prochy małodymne są płatkowe, a więc muszą być ważone, a przytem gilzy najrozmaitszych objętości; więc powyższy aparat w naszym kraju nie ma jeszcze zastosowania. (Dok. nast.)

S. *R. R.*



Życie myśliwych w stepach Kirgizów.

W stepowych prowincjach Akmolińska i Semipaletińska w Syberji, mieszkają Kirgizowie. Ich życie upływa na ciągłem błądzeniu po nagich stepach wraz z ich niezliczonemi trzodami, co trwa od początku wiosny do końca jesieni.

Zwierząt żyjących na tych stepach jest około 7 milionów.

Zebranie kilku rodzin, rządzone przez jednego, najstarszego Kirgiza nazywa się „aul“ (osadą), która składa się co najmniej ze stu „jurt“ (chat).

Tysiąc lub dwa tysiące „jurt“ tworzy „volosti“ administrowany przez głównego kierownika.

Każda część prowincyi Akmolińska i Semipaletińska posiada kilka „volosti“, które są pod władzą czynszownika rosyjskiego.

Kirgizi są dosyć mali, mają nos długi, oczy czarne i skośne, włosy czarne i szorstkie, a skórę żółtą; wskutek ciągłej jazdy konnej, mają nogi kabłąkowate.

Zwyczajnie mają po kilka żon, jednak jako ojcowie rodzin są bardzo obowiązkowi, i odznaczają się wielką gościnnością.

Jedynym napojem u nich jest „kumys“ czyli mleko końskie, środek leczniczy dla piersiowo chorych.

* * *

Koń kirgizki jest nieduży, głowę ma wielką, nos obwiśnięty, nogi grube i dobrze rozwinięte. Na przestrzeni 20 kilometrów może biedz z szybkością jednego kilometra na $1\frac{1}{2}$ minuty.

Woły i krowy stepowe są również małe, dostarczają jednak doskonałego mięsa, a utrzymanie ich nader mało kosztowne.

Główny majątek Kirgizów stanowią owce, które są wielkie i wspaniałe. Ogony ich ważą 25 do 30 funtów. Jedynie tylko pod przewodnictwem kozy udają się one w drogę.

* * *

Całe gospodarstwo oddane jest kobietom, mężczyźni zaś przepędzają czas na przechadzce lub polowaniu.

Kobieta w domu ma absolutną władzę, twarzy swej nigdy nie zakrywa, starzeje się bardzo prędko. Kirgizi nader lubią wszelkie zabawy. Największem świętem dla nich, jest święto wiosenne, które przypada w maju.

Wtenczas „młodzi jeźdźcy“ galopują między „jurtami“ wśród grania kobzy i śpiewów poetów stepowych. Kobiety-amazonki, biorą również udział w wyścigach i rozdzielają razy biczem nawet swoim wybranym, którzyby chcieli się do nich zbliżyć. W tych szalonych jazdach po stepie, widać zgrabność i zręczność kirgizkich jeźdźców i amazonek. Wieczorem młodzi bawią się w różne gry. Kobiety wymyślają zagadki, a kto zgadnie dostaje pocałunek.

Popołudnie drugiego dnia jest przeznaczone na zapasy, zaś trzeciego dnia odbywają się wyścigi na odległość 30 kilometrów. Trzydniowe to święto kończy się wieczerzą przeciągającą się późno w noc, gdzie „kumys“ gra rolę szampana.

* * *

Poeci stepów kizgizkich nie mają pieśni tradycyjnych, przechodzących z ust do ust, lecz improwizują każdym razem nowe pieśni, w których opiewają epizody historyczne, przygody miłośne, lub dobre czyny swoich zwierzchników. Gdy śpiewak podoba się publiczności, to ta prócz oklasków darzy go cennymi podarunkami.

Niektórzy z poetów są „szamanami“ czyli czarodziejami i odczyniają choroby i nieszczęścia.

* * *

Najmilszem zajęciem tego ludu koczującego jest polowanie, szczególnie z ptakami drapieźnymi, jak z sępem, sokołem lub orłem królewskim

Ptaka trzymają u kuli siodła z zawiązanemi oczyma, a gdy zobaczą lisa lub inne zwierzę, puszczają go, który pada na grzbiet zwierzęcia, wydzióbywając mu oczy.

Bardzo oryginalne jest polowanie na wilki. Siedząc na swym szybkonogim koniu, mając tylko nahajkę, Kirgiz wyjeżdża na step, a zobaczywszy z dala wilka, wydaje

dziki okrzyk, i wraz z całą gromadą zaczyna go ścigać. Nagi, bezdrzewny step nie może dać schronienia wilkowi, który po ubiegnięciu 15 kilometrów, siada, otwiera pysk i zdaje się czekać na swój smutny koniec. Jedno uderzenie batem lub nahajką wystarcza, by go dobić.

Takie życie koczujące podczas 6 miesięcy w roku, wyrabia u Kirgizów w największym stopniu wzrok i słuch, a głód, pragnienie i zimno znoszą doskonale.

Kirgizi okolic północnych stepów, przepędzają zimę u stóp gór na brzegach jezior w lichych chatkach, które ledwie ich chronią od ostrej zimy i burz śniegowych. To jedynie staje się powodem, iż Kirgizi przywiązują się do ziemi, — żywicielki — i stają się rolnikami. Jednak życie koczujące, czaruje zawsze Kirgizów.

Najulubieńszem miejscem zamieszkania jest dla nich jurta. Jest to rodzaj namiotu, łatwo dającego się przenosić, pokrytego pilśnią grubą. Szkielet drewniany jurty jest podobny do klatki. Ma 6—8 metrów średnicy, a 4—6 metrów wysokości.

Jurta ma jako podstawę kratę z żerdzi, na której są przymocowane dokoła patyczki wygięte, których drugi koniec jest wpuszczony w obręcz, którędy wychodzi dym.

Kirgizi zdobią swe mieszkania dywanami i pilśniami, haftowanemi przez kobiety.

Z powodu przeniesienia się na inne miejsce, Kirgizi obchodzą wielkie święto. Cały „aul" wyrusza pod przewodnictwem naczelnika, i pod gorącemi promieniami słońca wiosennego idą nieraz 10 kilometrów. Na pierwszym spoczynku święcą z przepychem wrócenie się do koczownictwa, tańczą, śpiewają, aż do wschodu słońca.

Osiedlają się zwykle tylko na dwa lub trzy tygodnie; gdy bydło wypasie trawę, przenoszą się gdzieindziej. I tak każdy „aul" przechodzi wszystkie lata po jednym śladzie, wynoszącym do tysiąca kilometrów.

Tłóm. z franc. *R. J.*



„Łowiec Polski"

Łowiectwo w Polsce.

Podług szeregu artykułów, zamieszczonych w „Gospodarstwie łowieckiem" Mikołaja Reumanna, urzędnika do szczególnych poruczeń przy komisji rządowej przychodów i skarbu (1845 r.), z uzupełnieniami według innych źródeł historycznych.

(Ciąg dalszy.)

Łowiectwo do XIV. wieku.

Podług lustracji z roku 1553 chowały się jeszcze w tym wieku tury lub żubry w puszczy jaktorowskiej i włościanie z tejże wsi wolni byli od wszelkiej robocizny, wyjąwszy, iż zbierać musieli siano dla żubrów. Jeszcze w r. 1599 miała ta puszcza wzdłuż 2 i pół, a w szerz 2 mile. Święcicki w tych wyrazach o niej wspomina: „famosa Hectorea sylva urorum proventu in orbe nostro clara". Równie sławne były Wiskitki o pięć mil na wschód od Jaktorów położone. Kromer wspominając o żubrach, mówi: „uri hoc est boves silvestres quos nos turos dicimus, in solis Masovititis apud Viskithos extant".

W miarę też, jak się lasy w Królestwie zmniejszały, i one się posuwały ku wschodowi do lasów litewskich, gdzie się najdłużej utrzymywały i do dziś dnia w puszczy Białowieskiej w dość znacznej liczbie, pod szczególną opieką rządu spokojnie żyją.

Po żubrze pierwsze miejsce w łowiectwie zajmował łoś. Mniej trwożliwy i ludzi unikający, niż żubr, liczniejszy był we wszystkich wielkich puszczach naszego kraju i dłużej się tam utrzymał. Jeszcze za panowania Stanisława Augusta polowano na łosie w lasach Kozienickich i kampinowskich, a w gubernii Augustowskiej jest dotąd miejscowym w leśnictwie Rajgrod. Polowanie na łosie odbywało się w owych czasach niemal takim sposobem, jak dzisiaj. Ponieważ natura wskazała łosiowi na pobyt lasy i bagna niedostępne, najskuteczniejsze więc polowanie na niego mogło się tylko odbywać zimową porą, w czasie tęgich mrozów, kiedy największe oparzeliska zamarzały i po lodzie myśliwi oraz psy przebiegać mogli. W takiej porze zakładano na nich psami gończymi, które je albo na strzelców wypędzały, albo też żywcem się dostawały w ręce myśliwych na lodzie, który się pod takim ciężkim zwierzem załamywał. Może z takiego zdarzenia zginął przed wiekami łoś w nurtach Wisły, którego rosochy w r. 1843 z głębi tej rzeki wyciągnięte zostały, a jako odznaczające się przez swą wielkość zasługują na wspomnienie.

Nasze lasy, jak to już wyżej udowodniliśmy, liczny i rozmaity miały zwierzostan i hojnie karmiły i zabezpieczały każde zwierzę do późnego wieku. Dla tej przyczyny często się zdarzało w owych wiekach upolować jelenia lub łosia silnej budowy i z wielkimi wieńcami, jak się dowiadujemy z różnych opisów, oraz znalezionych wieńców i rosoch w bagnach i rzekach. Nie rzadki był w owych czasach rogacz z wieńcem do 30 odnóg, oraz rosochy nadzwyczajnej wielkości w porównaniu z dzisiejszemi. Autor niniejszego pisma miał rosochę łosia, która waży 23 funtów i ma 8 gałęzi. Jakkolwiek egzemplarz ten już do rzadkich w swoim rodzaju należy, porównany jednak z rosochami, znalezionymi w maju 1843 roku w Wiśle, pięć mil niżej Krakowa, wprost Niepołomskiej puszczy, zbyt wiele traci na swojej okazałości. Wspomniane rosochy tem się różnią od zwyczajnych, że kształt mają muszli, czyli że dłoń niemal jest okrągła, a gałęzie, chociaż liczne, zbyt mało wystają.

Razem ważą 54 funtów.
Długość od róży przez całą dłoń wynosi 27 cali
szerokość dłoni ma . . . . 34 „

Każda dłoń, czyli raczej muszla, ozdobiona jest 16 widzialnemi, na cal i krótszemi gałęziami. W stosunku wielkości jest cała muszla dość cienka, kiedy znajdująca się u piszącego daleko jest grubsza. Piękny ten egzemplarz byłby dla swej rzadkości ozdobą publicznego gabinetu.

Na łosie i innego grubego zwierza, polowali królowie nasi obławą i sieciami. Obławnicy napędzali żubry, łosie, niedźwiedzie na rozstawione siecie, a zwierz wpadłszy w nie, wplątał się, stracił siły, i zabity został przez myśliwego wystrzałem wymierzonym zwykle pomiędzy rogi. Podobne łowy odprawiał Stefan Batory, jak Bielawski (myśliwiec Tomasza Bielawskiego, w Krakowie 1595 roku) świadczy, oraz inni królowie, a częstokroć damy dworskie

brały udział w przedsięwziętych trudach myśliwskich i narażeniu się na wściekłość dzikiego zwierza. W takim przypadku znajdowała się Helena, żona króla Aleksandra, która przypatrując się z altany łowom na żubry, ledwie uratowaną została w raz z jej frauencymerem, bo rozjuszone żubry wpadły na altanę i takową wywróciły; o czem wspomina uczony Czacki w swem dziele; o litewskich i polskich prawach, w tomie II. na kartce 260.

W ogólności używano więcej w tym wieku sztuki, niż przemocy do ubicia zwierza grubego, wyjąwszy niedźwiedzia i dzika, z którymi spotykał się prawy myśliwy ze strzelbą i oszczepem. Na niedźwiedzie i dziki polowano obławą, gończymi i kundlami, oraz obstawiono je sieciami, a podług Haura, łapano je jeszcze na żelaza, zaś niedźwiedzie w zielone klatki, włożywszy im w nie pokarm, jaki lubią, n. p. miód. Jak zaś wspomniana klatka urządzona była, nie opisuje tenże autor; wspomina tylko, że opatrzona była sprężyną, która poruszona, zamyka niedźwiedzia, jak ptaszka w klatce. Autor zaś Nowych Aten w tom. II. fol. 480 radzi niedźwiedzie następującym sposobem łapać: Miód się przyprawia z mocną gorzałką, zaś na zdradę zastawia się z mocnego drzewa zbudowaną klatkę, w której się ul z miodem przyprawionem ustawia. W klatce drzwi tak zawieszone być muszą nad otworem, żeby opadły, gdy niedźwiedź do klatki wejdzie, i żeby go tam zamykały. W takim razie, mówi autor X. Chmielowski: „w słodkim miodzie, gorzkiej kosztuje śmierci". Zwierz wpędzony w sieci, jeżeli się w nie nie wplątał, utracił jednak możność bronienia się, a ścigany przez brytany, jeżeli się rzucił na myśliwego, od tegoż rażony bywał oszczepem, którym myśliwy zawsze, oprócz strzelby, uzbrojonym był. Polowania na powyższe zwierzęta, oprócz żubra, najniebezpieczniejsze były.

Że łowy na niedźwiedzie są niebezpieczne i wielkiej przytomności umysłu, oraz odwagi wymagają, świeży mieliśmy przykład w naszych czasach. W powiecie Nowogrodzkim, nad jeziorem Święcica, w dobrach Rzepichowszczyzna, przy ujściu kanału ogińskiego, rozległe i odwieczne są lasy hrabiego Tyzenhauza, w których szlakowany był od lat kilku niepospolitej wielkości niedźwiedź. Różne na niego robione były zasadzki, ale zawsze bezkuteczne; bo przezorny zwierz nieraz ścigany, wiedział, jak minąć sidła na niego przez myśliwych stawiane tak dalece, że stary miś najdoświadczeńszych strzelców w pole wyprowadzał. (C. d. n.



Korespondencje.

W Ochotnicy pod Krościenkiem, wójt, właściciel realności Jan Pucher zastępca posła do Rady Państwa — zastrzelił tymi dniami na polowaniu rysia samca — okaz bardzo ładny. Rysia tego chce sprzedać. Gdyby ktoś chęć kupna mający się zgłosił, proszę, by się udał pod powyższym adresem.

Struszkiewicz.

Kołomyja 5. lutego 1910.

Dnia 26. 27. 28. stycznia 1910 odbyły się polowania współki łowieckiej w Kamionkach i w Turce, na których w 20 strzelb ubito 40 kozłów, 10 lisów, 360 zajęcy. Z tego padło w pierwszych dwóch dniach w Kamionkach 32 kozłów, 7 lisów, 180 zajęcy. Rok temu, padło na jednodniowem polowaniu w tej kniei zaledwie 7 kozłów, 28 zajęcy. Stan zwierzyny podniósł się więc znakomicie, co w pierwszym rzędzie należycie i obficie podanej karmie, i ochronie zwierzyny, jakoteż pokojowi panującemu w lesie, w drugim zaś spowadzeniu 20 zajęczyc zawdzięczyć należy. Większość towarzyszy było zdania, że do tego dobrego rezultatu głównie tych 20 importowanych cór lasów czeskich się przyczyniło, i uchwalono w roku bieżącym dalszych 40 sprowadzić. Zważywszy jednak że zajęczyce te po 30 koron od sztuki, a więc bajecznie drogo kosztują, nadzwyczaj żądane będzie skonstatowanie w następnych sezonach, czy rzeczywiście drogi ten import tak znacznie się do rozmnoży zajęcy przyczynia, przyczem zauważyć muszę, że w kniei tej dawniej — gdy tylko dwa razy do roku polowano, — padało zawsze i bez sprowadzania, zajęcy, około 200 dziennie. Ubóstwo naszego kraju polega właśnie w tem, że kolosalne sumy wyrzucamy na drogim imporcie, a jeszcze większe tracimy na tanim eksporcie, i nasze własne za bezcen sprzedawane drzewo a nawet skórki lisie, zajęcze etc. zakupujemy później drogo w formie mebli, zarękawków, kołnierzy i t. p.

Czy i o ile tych 1200 koron w bieżącym roku preliminowanych na zakupno zajęcy się opłacą — obaczymy.

Józef Łysakowski.

Turówka 8. lutego 1910.

Zakończeniem i koroną naszych polowań był dnia 31. stycznia b. r. Sokołów p. Wład. Boguckiego, tak bardzo zawsze upragniony dla tych, którzy znają tę knieję, i długo już polują pod wytrawnem, mistrzowskiem kierownictwem gospodarza. I nie zawiódł Sokołów, owszem, dopisał zupełnie; bo prócz dwóch miotów, we wszystkich były dziki, albo pojedyncze, albo małemi partjami, tak że wszyscy myśliwi strzelali do nich, a był jeden szczęśliwy, który strzelał do ośmiu. Można z tego brać miarę, że było ich nie mało, a na rozkładzie znalazło się dziesięć, w tem siedm dużych sztuk. Oczywiście inna zwierzyna plątała nam się bezkarnie pod nogami, a zwłaszcza przemądre lisy, które najchętniej przebywają w gęstych miotach, gdzie dziki mają barłogi, a gdzie nigdy ich się nie strzela wskutek zakazu gospodarza, żeby nie spłoszyć dzików. Sam miałem sześć razy lisa pod lufą, — co za emocye! — ale karność przemogła pasję. Bo pierwszą cnotą myśliwego, nie strzelać, kiedy zakazano, lub kiedy może grozić niebezpieczeństwo otoczeniu. Polowanie — jak zawsze w Sokołowie — kierowane z wielką znajomością

rzeczy, i wyłącznie z myślą o dzikach, dało śliczny rezultat — 10 sztuk. A że nie więcej, to już nie wina kniei, ani kierownika, tylko kul, które nie w dziki trafiały, — bo niema co taić, że strzałów padło znacznie więcej niż dzików.

Wszyscy żyjemy teraz pod niewesołym znakiem nowej ustawy łowieckiej, i gubimy się w kombinacjach, jaki los czeka nasze myśliwstwo w najbliższej przyszłości. Bardzo wymowny wyraz tej trosce i czarnym horoskopom, dał w swojem przemówieniu do gospodarza Hr. Jul. Borkowski, najmłodszy z naszej drużyny — ale tylko wiekiem — bo poważny myśliwy i doskonały strzelec, przewidując „że — dzięki nowej ustawie — może ostatni raz polowaliśmy na czarnego zwierza z takiem powodzeniem a zostanie nam już tylko legenda o takich łowach, którą przekażemy z wdzięcznem wspomnieniem o ich gospodarzu i kierowniku, naszym dzieciom i wnukom...“ Może przecie tak źle jeszcze nie będzie, zwłaszcza z dzikami, które nie są najponętniejszym łupem kłusownika, a które nie tyle niszczą ciche i podstępne zabiegi kłusownika, co raczej wypędza z kniei głośna siekiera i tartak. Mam przekonanie, że gdzie gospodarz-myśliwy nie poskąpi karmy dla dzików i grosza na odszkodowanie za ich psoty, tam utrzyma się ta zwierzyna, póki jej nie wytępi coraz lepsza broń celnego strzelca, przy ciągle ulepszanym całym aparacie myśliwskim. Mimo więc ponurych przewidywań naszego złotoustego kolegi, chcę żywić nadzieję, że — da Bóg życia i zdrowia — będziemy jeszcze strzelać sokołowskie dziczki, z łaski gospodarza i pod Jego doświadczoną wodzą, czego z serca życzę szanownym kolegom i sobie.

Bronisław Rozwadowski.

Ogromnego wilka (samca) ubił dnia 29. stycznia na polach łopuszyńskich w powiecie brzeżańskim, włościanin Kinal, jadąc sankami do lasu po drzewo. Wilka tego widziano już dnia poprzedniego na polach w gminie Żukowiec i Szybalinie, skąd go w biały dzień gonili chłopi po polach w kierunku lasów łapszyńskich. Wilk ten odłączył się prawdopodobnie od stada liczącego 5 sztuk i widzianego kilka dni poprzednio w okolicy Narajowa. Dziwnem jest, że w lasach okolicznych nie zauważono nigdzie szkód wyrządzonych w zwierzostanie, lub też w zwierzętach domowych przez owe wilki, które prawdopodobnie bawiły przez czas dłuższy w lasach brzeżańskich. Miano je bowiem widzieć także przed kilku tygodniami w okolicy Kozowy, odległej od Brzeżan 16 klm.

H. M.

Batiatycze, 8. lutego 1910.

Wiosna, termometr wskazuje 11 stopni ciepła, a jednak obawa przed marcem, aby znów nie był zabójczym dla zwierzyny, a szczególnie zajączków i kuropatw na nisko położonych terenach. Polowań w powiecie odbyło się kilka: u P. Müllera w Błyszczywodach ze ślicznym rezultatem; u OO. Dominikanów w Dzibułkach; u P. Bronisława Langa w Wieczorkach, a w końcu u niżej podpisanego cztery polowania w sześć i ośm strzelb i padło u tegoż 122 zajęcy, 18 kozłów, 4 lisy, 1 dzik, za co składam dzięki św. Hubertowi, jak również dzielnej drużynie myśliwskiej.

Tadeusz Romanowski,
delegat żółkiewski.

Germakówka, 8. lutego 1910.

W lasach dóbr „Porchowa“ Jaśnie Wielmożnej Hrabiny Elżbiety Baworowskiej, odbyło się 28. i 29. stycznia dwudniowe polowanie w ośm strzelb, a to z rezultatem: 6 dzików, 6 lisów, 2 kozły i 67 zajęcy.

W dzikach spodziewano się w obec znacznych ich ilości w tamtejszych rewirach lepszego rezultatu; widocznie jednak przy swem przysłowiowem szczęściu — przeczuły grożącą im od stanowisk myśliwskich śmierć pewną i przebijały się z niezwykłym uporem przez nagonkę wstecz i na flanki. W miotach, w których spodziewano się dzików, nie strzelano do żadnej innej zwierzyny, dlatego i rozkład kozłów i zajęcy wypadł niespodziewanie słabo.

Mynarski.

Horodenka w lutym 1910.

Tegoroczny karnawał myśliwski zakończyliśmy niezwykle przyjemnem, a jak na miniony sezon i tutejsze stosunki łowieckie, wprost wspaniałem polowańkiem w Targowicy, własności p. Wiktora Abrahamowicza. Na tę miłą, wdzięczną i tak harmonijną całość złożyło się wszystko. Już kto wstąpi w progi tego prześlicznego, nie tyle może z przepychem, ile z prawdziwie artystycznym smakiem urządzonego dworu szlacheckiego, czuje jakieś raźniejsze bicie tętna. Zdaje się, że to ktoś jakoby różczką czarodziejską wskrzesił obrazy i postacie z lepszej przeszłości. Tu mieszkał, działał i umarł nasz niezrównany myśliwy i dramaturg Adolf Abrahamowicz. A oto w progi wita gości z tą samą uprzejmością gospodarz p. Wiktor, godny następca swego śp. brata. Wchodzimy do tych samych obszernych komnat. Z płócien na ścianach rozwieszonych te same spoglądają na nas oblicza, to samo ciepło gościnne nas obejmuje i ogrzewa, a na kominku ten sam ogień wesoło się pali i trzaska.

Po śniadaniu schodzi się pieszo przez piękny sad wprost do kniei. Knieja to na oko bardzo niepozorna, ot sobie zwykły łęg. Zaszła nagonka, nawiasem mówiąc, znakomicie wyszkolona i przez staruszka Baczyńskiego od pół wieku prowadzona, odezwała się trąbka gospodarza i na raz w tym spokojnym, cichym dotąd miocie, zbudziło się życie, wre... kipi. Całe dziesiątki szarych postaci zrywa się ze swych legowisk zaniepokojone, kto im śmiał całoroczną ciszę i południową drzemkę przerwać. Tu i ówdzie przemknie stadko sarn, lub lis chyłkiem się wykrada.

Co znaczy szanowanie zwierzyny, co znaczy gdy gospodarz kniei jest prawdziwym myśliwym, o tem w Targowicy dowodnie przekonać się można. W pięć strzelb, w przeciągu 3 godzin padło 35 zajęcy i 4 rogacze. Około 200 zajęcy przeszło niestrzelanych, bo gospodarz z góry prosił o oględne ich traktowanie, a kozłów, których jeszcze kilka było na strzał, wprost już strzelać nie pozwolił. — Strzałów padło 118.

Jak to dobrze, że właśnie w Targowicy wypadło nam zakończyć sezon myśliwski, bo pesymizm co do stanu zajęcy w tym roku, bodaj w części ustąpił i można się przynajmniej pocieszać nadzieją, że przecież w przyszłym sezonie tak źle nie będzie, bo ten „rozsadnik zajęczy“ Targowica, zasili i sąsiednie tereny myśliwskie. *M. K.*

Tyśmieniczany, 21. stycznia 1910.

Niektórzy ornitologowie są zdania, że ptaki przelotne opuszczają nas nie dla mrozów, lecz z powodu braku pożywienia. W tym roku mogłem poniekąd prawie stwier-

dzić słuszność tego zapatrywania. Nie mając ani czasu, ani danych do szerszego rozpisania się nad tem, mam zamiar podać tylko w krótkości niektóre daty, dające powód do zastanowienia się tym, którychby pierwsze spostrzeżenia te zająć mogły. Do słonek strzelałem w tym roku od 30. września do 10. listopada, ostatnią zaś widziałem 18. grudnia. Ostatniego krzyka ubiłem w dniu 11. stycznia, kulika zaś, ptaka opuszczającego nas bardzo wcześnie, zabiłem w dniu 3. stycznia, ptaszek był w dobrem mięsie i późną porę zdradzał tylko mniejszą ruchliwością. Są to wprawdzie tylko sporadyczne wypadki, jednak w połączeniu z dalej podanemi datami dają mi powód do zastanowienia się, co u nas tych spóźnionych gości przytrzymało. Niedaleko dworu, wśród dworskich łanów płynie potoczyna, nie zamarzająca nawet wśród najsilniejszych mrozów. Mając w tej stronie częste gospodarskie zajęcia, mogłem na tym strumyku przez całą jesień strzelać do kszyków. W dniu 3. stycznia spotkałem cztery *Gallinago gallinula*, czyli bekasiki, dwa z nich ubiłem, do dwóch z umysłu nie strzelałem, chcąc się przekonać, czy i później jeszcze zostaną te ptaki. W dniu 11. stycznia, po mrozach, dochodzących do 14^0 R. i śniegu, spadłym na kilka cali, z umysłu wybrałem się do poszukania z psem moich dwóch znajomych. Znalazłem i ubiłem obu, 18. stycznia, wyszedłszy na wyż wymienioną potoczynę na kaczki, które przy silniejszych przymrozkach chętnie odwiedzają ciepłe wody strumyka, ubiłem jeszcze jednego bekasika, a ostatniego 4. lutego. To już nie sporadycznie znalezione ptaszki, lecz widocznie stale przesiadujące na tych, jak się zdaje dla nich odpowiednio zabagnionych brzegach potoku. Zachowanie się tego najmniejszego gatunku bekasów różniło się od ich zwykłych zwyczajów tem, że dosiadywały jeszcze bardziej jak zwykle, tak dalece, że prawie każdy wprost z pod nosa psa porywał dość ociężale i spowodowywał niemałą pokusę dla niego, gdyż się zdawało, że każdego bez wielkich trudności może złapać. Również tak krzyk, jak i kulik, choć zrywały się normalnie, w niewielkiej odległości znowu zapadały. Może ktoś z Szanownych czytelników „Łowca“ podobne w tym roku zrobił spostrzeżenia, które zebrane mogłyby ciekawe rzucić światło na obyczaje naszych ptaków przelotnych przy tak oryginalnej zimie, jaką mamy w tym roku. Ponieważ słyszałem z kilku stron, że w tym roku w licznych stronach kraju pojawiły się żbiki, podaję do wiadomości, że i ja w Hostowie, gdzie dotąd nigdy nie widywano żbików, w powiecie tłumackim ubiłem 15. stycznia samicę żbika, bardzo piękną, jako okaz. Sprawozdanie o tem świetnem polowaniu pozostawiam tamtejszemu delegatowi.

Władysław Garapich.

Otrzymujemy następujące pismo: Odnośnie do korespondencji umieszczonej w „Łowcu“ Nr. 3 z d. 1. lutego 1910. pod napisem: „Obertyn w styczniu 1910“, upraszam po myśli §. 19. ustawy prasowej o umieszczenie w najbliższym numerze i na właściwem miejscu następującego sprostowania:

Prawdą jest, że w zeszłym roku właściciel Obertyna dał mnie polowanie na obszarze dworskim, jednak z tego nigdy nie korzystałem; natomiast, za wiedzą właściciela pozwoliłem w grudniu dwom polować na zające, które (kilka) oddali tym, którym właściciel polecił.

Nieprawdą jest jakobym oddał polowanie dworskie kilku mieszczanom, którzy tępią zwierzynę gdziekolwiek i kiedykolwiek ją spotkają. Nieprawdą jest abym chciał dokuczyć dzierżawcy polowań okolicznych, gdyż unikam pozoru dokuczania, nawet gotów jestem przysporzyć mu więcej jeszcze polowań, byleby naprawdę nie skąpił na podniesienie stanu zwierzyny i zaniechał mnie zniesławiać słowem i pismem. Fakt ten podaję pod sąd opinii publicznej.

Z szacunkiem

Ks. Jan Bladowski

rz. kat. pleban.

Gromnik, 8. lutego 1910.

Skwaszony od kilku dni panującą słotą i odwilżą, przeglądam zapiski łowieckie, prowadzone od lat czterech z tutejszych, tak wiele na oko obiecujących, a niestety tem złudliwszych rewirów. Przesiedliwszy się przed czteroma laty z Grojca, powiatu Biała, tak obfitego w różnorodną zwierzynę, gdzie to rok cały i myśliwy i pies miał miłą i obfitą w plony rozrywkę, czy na polu suchem, czy na stawach, czy w lesie, osiadłem w tej ślicznej ziemi tuchowskiej. Na oko, okolica dla myśliwego i rolnika wiele obiecująca, dla pejzażysty wprost wspaniała. Położenie pagórkowato-faliste, lekkie stoki spadające ku obszernej dolinie Białej i jej dopływów, gleba, żyzna glinka, w większej części przepuszczalna, na której wszystko się rodzi, łany polne, poprzerzynane licznymi laskami, jarami i strumieniami, na grzbietach pagórków, najwyżej do 350 m. nad poziom morza wyniosłych, widnieją znaczniejsze łańcuchy lasów szpilkowych i liściastych, przeważnie młodników z gęstą podszywką. Na oko idealne rewiry łowieckie, miejsca rozmnoży i ostoi wszelakiej zwierzyny. Niestety tylko na oko, bo w rzeczywistości to „tabula rasa“, gdzie zwierzyna łowna prawie do rzadkości należy, a i szkodliwej stosunkowo nie wiele.

Najlepszy obraz da wykaz ubitej w Gromniku zwierzyny za 4-lecie od 1. stycznia 1906 do 1. stycznia 1910. Obszar rewiru własnego 500 morgów, w tem 260 morgów lasu w jednej parceli i rewiru dzierżawionego od gminy obszaru 760 morgów, przeważnie pola poprzecinane licznymi zagajnikami. Razem obszaru 1260 morgów.

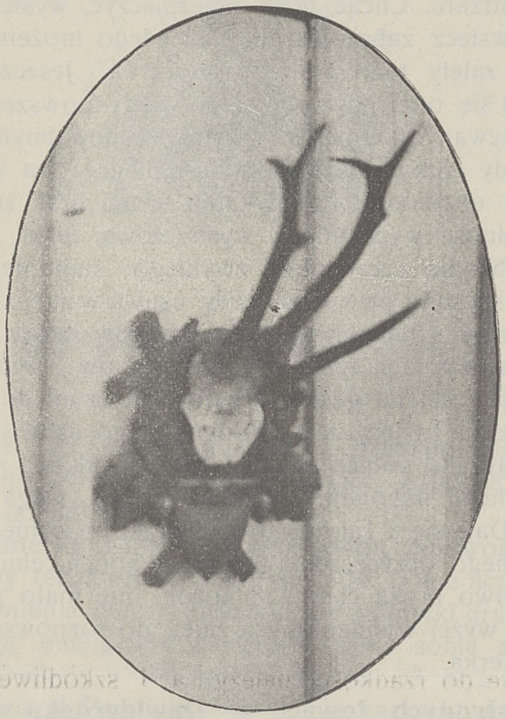
Rok	Lis	Tchórz	Kuna	Rogacz	Zając	Kuropatwa	Przepiórka	Derkacz	Jastrząb	Sroka	Wrona	Pies	Kot
1906	19	.	.	2	17	24	.	40	1	48	192	2	6
1907	5	.	4	5	12	24	14	10	2	37	66	1	12
1908	10	1	1	2	15	17	3	24	1	42	58	3	4
1909	4	1	.	2	15	20	36	74	1	19	56	1	3

Oto aż nadto skromny plon czteroletnich zabiegów hodowcy i myśliwego, którego głównem staraniem nie ilość ubitej zwierzyny, lecz podniesienie zwierzostanu przez opiekę, żywienie, dozór rewirów i tępienie szkodników. Powodem tego smutnego rezultatu jest nasz poczciwy ludek, którego zagrody, rozrzucone na całym obszarze, przytulone do gajów i jarów, te prawdziwe gniazda niebezpiecznych drapieżców — wobec których wśród trudnego terenu straż łowiecka i żandarmerya bezsilną, z powodu trudności pochwycenia na gorącym uczynku kłusownictwa, a który to występek nasze władze niestety zbyt lekko traktują.

Niema więc tematu, niema wrażeń, z któremi możnaby się dzielić z Czcigodnymi Braćmi w Hubercie, co najwyżej wspomnę parę rzadszych w kronice myśliwskiej epizodów.

I tak w sierpniu roku przeszłego, kontrolując pod wieczór konno, jak zwykle mą straż łowiecką, spostrzegłem na granicy sąsiedniego rewiru, na łące pod lasem, tęgiego rogacza szóstaka, w miłosnych afektach do tęgiej chłopskiej jałówki, afektach, nie ograniczających się na platonizmie, pomimo, że stara pasterka czy to z zazdrości, czy strachu, wcale gardła nie żałowała.

W dniu 9. sierpnia 1909 strzeliłem pod wieczór na podchodnem rogacza myłkusa, odbitkę jego parostków i rozmiary tychże załączam.



Gromik, pow. Tarnów.

Rewir: Buczyna 9. sierpnia 1909. — Wagi 21 kg.

Długość odnóg 23 cm., długość odnogi ocznej 17 cm., obwód róż z prawej 13, a z lewej 14 cm., rozpiętość 10 cm.

W dniu 18. października 1909 polując z małym jamniczkiem w gęstym młodniku na lisy, słyszę ze stanowiska na szczycie góry, jak mój dzielny „Krecik“, mający już nie jednego lisa i dzika na sumieniu, zajadle a grubo na miejscu ujada, w parowie jakie 800 metrów odległym. W przekonaniu, że stanowi dziki, które tu często przechodzą, pędzę całą parą rozdętych płuc na głos psa, nastawiwszy pospiesznie trójlufek na kulę. Pomimo mych ciężkich kroków pies ciągle w miejscu ujada, lecz niestety z powodu gąszczu nic dojrzeć nie mogę. podsuwam się więc bliżej na kolanach i widzę w odległości jakich 30 kroków ogromnego lisa, który stojąc dęba, jak osaczony niedźwiedź, odcina się jamnikowi, wydając przytem głos chrapliwo-parskający, podobny do głosu kota przez psa opadniętego. Na głos mój pies o parę kroków odskoczył, a lis padł z dymem nagle przyrzuconego do twarzy trójlufka. Był to stary pies, ogromnych rozmiarów, z całkiem zużytem uzębieniem. W mej czterdziestoletniej różnorakiej praktyce łowieckiej pierwszy to wypadek, by lis, mający możność bezwarunkowo pewnej ucieczki, nie broniący swego potomstwa, ani też nie przyparty do muru, stawiał tak zacięty opór psu, że aż głośne me kroki i szczucie przesłyszał.

Oto kilka skromnych słów sprawozdania zapalonego myśliwca z naszej tak ubogiej w zwierzynę okolicy.

Jan Chwalibóg.

Zaleszczyki w lutym 1910.

Jak wszędzie, tak i w tym zakątku naszego kraju było w ubiegłym sezonie zwierzyny bardzo mało; w rewirach, w których niedawno, bo przed dwoma laty padało do 160 zajęcy i kilka kozłów, w tym roku nie zastrzelono nawet połowy. Winne temu poprzednie ostre zimy, niezwykły stan lisów i w najwyższej mierze rozwielmożnione kłusownictwo.

Teren nad Dniestrem nadaje się szczególniej do hodowli sarn i zajęcy; tak zwane „ścianki“, porosłe młodą, gęstą dębiną lub grabiną, dają zwierzynie dobre, ciepłe i bezpieczne schronienie. I dlatego mogłoby być jej nawet bardzo wiele, gdyby istniała racyonalna gospodarka leśna i zrozumienie interesu łowieckiego — niestety tego wszystkiego u nas niema. Nikt prawie z właścicieli zwierzyny w zimie nie karmi, nikt o jej byt się nie stara, a polowanie odbywa się tylko dla zdobycia jak najwięcej mięsa. Większa część majątków pozostaje w rękach żydowskich, a wiadomo, że żydzi nie przywiązują żadnej wagi do myśliwstwa. Dla nich to obojętne, czy w lesie jest co, czy kto i kiedy poluje. Tej to właśnie okoliczności zawdzięczamy bezkarne kłusownictwo i obawę nie o słaby i coraz mizerniejszy stan zwierzyny, ale wprost o jej egzystencję. Żandarmerja u nas obojętna na tem polu lub wprost boi się spotkania oko w oko z kłusownikiem, który odważa się nawet na groźbę, co miało miejsce w jednym specjalnym wypadku we wsi Winiatyńcach.

Jak daleko się zaszło w tym kierunku, świadczy wymownie fakt, że np. w takim Myszkowie naliczono aż 50 strzelb kłusowniczych; to samo da się powiedzieć o Błyszczance, Torskiem, Hinkowcach, Berestku, Lisowcach, Nowosiółce i t. d. Gdzie właścicielem jest chrześcijanin i myśliwy, tam służba leśna spełnia swoje obowiązki dość gorliwie, tam i zwierzyny dość. U właściciela Zaleszczyk, p. Augusta Turnaua, który ściga bez miłosierdzia rabusiów nocnych, zwierzynie dobrze się powodzi. Na trzydniowem polowaniu w grudniu padło u niego około 230 zajęcy, kilkanaście kozłów, kilka lisów i bażantów. Tak samo i w majątku p. hr. Borkowskiej, w Szczytowcach stan zwierzyny jest stosunkowo pomyślny. Tam pełnomocnik, p. Rosinkiewicz wziął się na sposób i przyjął do służby leśnej najniebezpieczniejszych kłusowników, a zaprzysiągłszy ich, poruczył im pilnowanie kniei, a kłusownictwo prawie ustało u niego.

Powodem złego stanu zwierzyny u nas jest także brak wszelkiej inicjatywy w niszczeniu drapieżników; nikt nie strzela jastrzębi, puhaczów, kotów zdziczałych, kruków, wron, łasic, kun i lisów. Taki *astur palumbarius* grasuje w każdej kniei, w każdej wsi, a pytanie, czy go kto kiedy widzi! O ile wiem, to tylko p. Turnau robi starania w tym kierunku.

Smutne więc horoskopy przed nami w przyszłości — może nawet i bez nowej ustawy łowieckiej nie będzie u nas i nogi zajęczej!

Chwalę bardzo niektorych panów, którzy, rozglądnąwszy się w smutnej sytuacji, nie urządzili w tym roku u siebie polowania i dali przykład, godny naśladowania.

Większe polowania odbyły się u nas:

1) w dominium zaleszczyckiem u p. Turnaua w dniach 15., 16. i 17. grudnia z rezultatem wyżej podanym;

2) w Dźwiniaczu u p. Wartanowicza 10. stycznia, w 8 strzelb zabito 14. zajęcy (sarn nie strzelano);

3) w Szczytowcach u p. hr. Borkowskiej w 14 strzelb zabito 78 zajęcy i 10 lisów (rezultat z dwóch dni);

4) w Myszkowie dnia 26. stycznia zabito w 10 strzelb 32 zajęcy, 2 rogacze i 1 lisa;

5) w Olchowej u p. Romanowskiej zabito dnia 29. stycznia w 8 strzelb 24 zajęcy.

Polowania odbyły się i w wielu innych miejscowościach — dat jednak jeszcze nie zebrałem i dlatego nie mogę niemi służyć.

Wład. G.

Mosty wielkie, 1. lutego 1910.

Polowanie w Parchaczu u p. Jana Madeyskiego w dniach 21. i 22. stycznia było wymownym dowodem, że i w mniej pomyślnych dla zwierzyny warunkach zwierzostan do świetnego wprost stanu doprowadzić można.

Rezultat był na stosunki tutejsze nadzwyczajny: 170 zajęcy, 7 lisów, 3 jastrzębie i 1 rogacz. Te ostatnie tylko w kilku granicznych miotach strzelać było wolno, w innych rewirach strzela się rogacze tylko w lecie na podjazd, a stan sarn jest wprost prześliczny. Ja sam miałem w tych dwóch dniach 8 silnych rogaczy na strzał.

To też uważam za swój obowiązek podnieść na tem miejscu zasługi gospodarza, który nie zrażając się nie bardzo korzystnymi dla zwierzyny warunkami i bardzo złemi pod względem myśliwski sąsiedztwami, nie szczędzi trudów i kosztów dla podniesienia zwierzostanu. Gdybyśmy więcej tego rodzaju myśliwych hodowców mieli w kraju, jakiemby to eldoradem myśliwskiem Galicja stać się mogła!

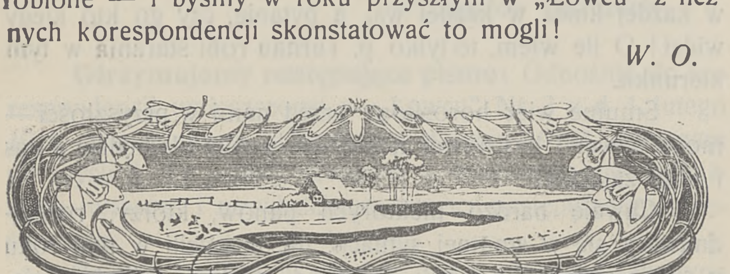
Wielka stosunkowo ilość lisów na rozkładzie tem się tłómaczy, że się z okolicy całej do bogatej w zające i bażanty kniei parchackiej pościągać musiały. Miejscowych lisów wiele między nimi nie było, bo wiem z jaką zawziętością tam tępione bywają.

Polowanie było, jak zawsze w Parhaczu, doskonale obmyślane i świetnie prowadzone; grono myśliwych tworzyły najlepsze i szeroko znane strzelby w Galicji a uświetnił i uprzyjemnił je współudział „towarzysza“ pani Emilji Jędrzejowiczowej.

Oby tych parę słów uznania mogło być zachętą do naśladowania właściciela kniei parchackiej, który i w tym roku, pomimo świetnego rezultatu polowania, zajęczyce, celem uzupełnienia luk porobionych, sprowadził.

Zresztą gdzieindziej dorobek myśliwski w zamkniętym wczoraj sezonie do lichych zaliczyć wypada. To też wielu bardzo myśliwych wobec lichego stanu zwierzyny i fatalnej aury nie polowało zupełnie w tym sezonie. Daj Boże, by ta powściągliwość wraz z niezwykle łagodną tegoroczną zimą wyrównała nareszcie luki w szeregach zwierzyny porobione — i byśmy w roku przyszłym w „Łowcu“ z licznych korespondencji skonstatować to mogli!

W. O.



KRONIKA.

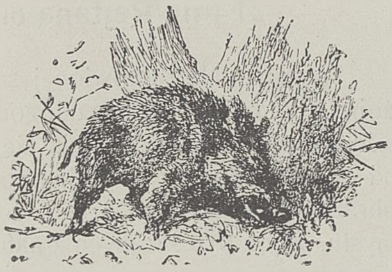
Półautomatyczny sztucerek systemu Bayarda, wyrabiany przez belgijską fabrykę broni „Anciens Etablissements Pieper“ w Herstal koło Leodjum, pojawił się niedawno w handlu. Podobnie, jak przy broni samoczynnej, tak i przy tym sztucerku, wsteczny nacisk gazów porusza mechanizm zamkowy. Po strzale więc wylatuje samoczynnie wystrzelona łuska, a igła zapałowa sama się naciąga. Ponieważ ten sztucerek jest jednostrzałowy, strzelec sam musi go sobie nabić, stąd jest tylko półautomatyczny. Nabijanie to jednak jest ogromnie uproszczone. Wystarcza tylko włożyć ładunek do otworu zamkowego, nacisnąć na odpowiedni z boku zamku umieszczony guzik, a nabój sam dostaje się do komory lufowej i mamy już broń gotową do strzału. Chcąc broń zabezpieczyć, wystarcza tylko posunąć wstecz zabezpiecznik. Już z tego możemy poznać ogromne zalety tego nowego sztucerka. Jeszcze bardziej uwydatnią się one, gdy wymienimy wady powszechnie znanych i używanych flobertów z zamkiem podobnym do Kausera. Wady tych flobertów są następujące: za wielki wysiłek przy otwieraniu i zamykaniu broni, brak zabezpiecznika, trudność wyciągnięcia wystrzałowej łuski, niedogodność nabijania szczególnie zwykłego, najmniejszego ładunku. Wszystkie powyższe wady usuwa w zupełności półautomatyczny sztucerek systemu Bayarda, który do oddania strzału wymaga tylko czterech ruchów: włożenie naboju, naciśnięcia na guzik, przyłożenia broni do ramienia i pociągnięcia za języczek. Długość tego sztucerka, kalibru 22 (fabryka poleca strzelać tylko krótkimi, z bezdymnym prochem nabojami), wynosi 98 cm., waga zaś tylko 1600 gr. Daje się z łatwością rozbierać, co koniecznem jest do starannego oczyszczenia broni. W końcu celność strzału i stosunkowo nizka cena (28 koron) nie mało przyczynią się prócz wyżej wymienionych zalet, do rozpowszechnienia tego sztucerka. *St. Ł.*

Na słynnych łowach w Dawidgródku na Litwie, u ks. Stan. Radziwiłła ubito w 5 dniach przed tygodniem 14 odyńców, 11 wycinków, 34 samur, 35 przelatków, i warchlaków. Znaleziono jeszcze nadto 8 postrzałków po polowaniu. Razem 102 sztuk. Szczegółową relację z tych wspaniałych łowów obiecał nam przysłać jeden z szczęśliwych uczestników.

Wystawa koni myśliwych i zwierząt jucznych. Na zgromadzeniu hodowców koni i zwolenników sportu konnego zdał ściślejszy komitet, wybrany ku przygotowaniu wystawy koni w ramach I. międzynarodowej wystawy łowieckiej sprawozdanie z dotychczasowych kroków przygotowawczych. Przewodniczący tego komitetu hr. Larisch zdawszy sprawozdanie, zwrócił się do obecnych z apelem, by dołożyli ze swej strony wszelkich starań, by międzynarodowa publiczność mogła nabrać należytego pojęcia o wysokim poziomie, na jakim austrjacka hodowla koni znajduje się. W ciągu dyskusji, jaka nad sprawozdaniem wywiązała się, złożyli szef sekcji Zaleski, hrabia Piotr Szapary i ekscelencja Horowitz imieniem Ministerstwa rolnictwa austrjackiego i węgierskiego, względnie imieniem wspólnego ministerstwa skarbu oświadczenie, że ministerstwa te wezmą udział w wystawie w charakterze wystawców. Hrabia Wrbna zawiadomił zaś imieniem klubu jazdy panów, że podczas wystawy łowieckiej odbędzie się także konkurencja powozów.

Program wystawy koni zapowiada trzy serje: pierwszą od 14. do 18. maja obejmującą konie powozowe i zaprzęgi, drugą od 21. do 24. maja dla zwierząt jucznych, trzecią w końcu od 28. maja do 4. czerwca dla najszlachetniejszych ras. Ta trzecia serja obudzi tem większe zainteresowanie, że równocześnie 6. i 8. czerwca odbę-

dzie się konkurs w skakaniu o nagrodę. Z końcem sierpnia i w ciągu września odbędzie się jeszcze dodatkowa wystawa koni. Dla każdej serji przeznaczone są do rozdziału medale państwowe, dyplomy, nagrody honorowe i pieniężne. Ministerstwo kolei przyrzekło 50 prc. opustu dla transportu koni i zaprzęgów przeznaczonych na wystawę. Transportu podjęła się firma wiedeńska Schenker et Com. Na placu wystawowym urządzona będzie służba weterynaryjna, a pasza dostarczoną będzie po cenie targowej pod nadzorem komitetu.



ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. Wiktor Słonecki w Zielonej. Korespondencji pańskiej nie umieścimy, by uniknąć dalszej, zupełnie zresztą bezcelowej polemiki.

W numerze 3-cim naszego pisma z powodu ciężkiej choroby redaktora, wkradły się dość liczne acz drobne i dla zrozumienia rzeczy nieszkodliwe pomyłki drukarskie, które zresztą inteligentni czytelnicy sami sobie zapewne poprawili. Obfituje w nie szczególnie str. 33 wyż wymienionego numeru. Przepraszamy za nie naszych współpracowników i czytelników.

Nowy członek P. Złowocki prostuje, że mu na imię nie Stanisław, ale *Janisław*.

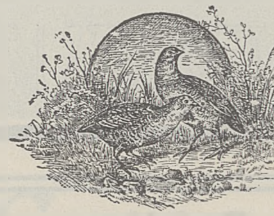


Sprawy Towarzystwa.

Dzięki staraniom delegatów gal. Tow. łowieckiego, mianowicie Panów: Jana Daukszy i Romana Żurowskiego, tudzież członków, a to Panów: Aleksandra Gostkowskiego i Witolda Jastrzębskiego, wpisani zostali w poczet członków pp.:

Abłamowicz Piotr
Jarużelski Ksawery
Kokoszyński Stanisław
Komornicki Władysław
Lenartowicz Roman, Dr.
Pawlikiewicz Athenoges
Rampelt Karol
Seidler Artur
Spolski Leszek
Wacek Rudolf

Wydział Towarzystwa.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**